

Krzysztof Maniak

Chmury

Chmurom już prawie nikt nie robi zdjęć. Można powiedzieć, że – jako motyw fotograficzny – są zdyskredytowane, uznane za banał i kicz. Ale co gdyby nigdy więcej miało ich już nie być? Czy nie warto mieć w swoich zbiorach choćby jednego zdjęcia obłoków? Własna niepowtarzalna fotografia chmur, może choćby z fragmentu nieba znajdującego się właśnie teraz nad nami.

Chmury fotografować można w nieskończoność, jak wszystko. Kto choć raz bawił się w odkrywanie znajomych kształtów w ich wyglądzie, ten wie, jaki drzemie w tym potencjał i jak bardzo można wciągnąć się w te obserwacje. Ale przecież nie zawsze widać je na niebie. Bywają dni, czasem nawet tygodnie, kiedy niebo jest bezchmurne. Wówczas na nieboskłonie zmieniają się jedynie odcienie szarości lub błękitu, raz na jakiś czas poznaczone tylko pierzastą smugą.

Polowałem na wymarzoną chmurę przez rok. Wiedziałem, jak ma wyglądać. Chciałem ją sfotografować. Dlaczego? Może dlatego, że zobaczyłem już kiedyś podobną. Przypominała cumulonimbusa, który kojarzy się z kalafiosem. To ważne, bo inne kształty tego rodzaju kłębiastej chmury mogą jeszcze przywoływać na myśl kowadło bądź grzyb. Ale tamta, o której myślę, mogła też być jakimś innym kłębiastym obłokiem. Teraz trudno mi to określić. Na pewno ta, którą widziałem, miała formę symetrycznej, piętrzącej się bryły. Podszyta była barwami zachodzącego słońca. Przenikały się w niej ciepłe, kremowo-brzoskwiniowe odcienie, wychodzące od sinoróżowych kłębow jej podstawy. W najjaśniejszych miejscach chmura skrzyła się srebrzysto-perłowymi blikami światła. Była to majestatyczna wręcz, przytłaczająca swymi obfitymi, barokowymi kształtami forma, której tło stanowiło niebo: granatowe od horyzontu, a ku górze przechodzące w błękit. Na pewno taka. Gdzieś musiałem ją widzieć.

Od tamtej pory przez rok czekałem na podobny obraz, który miał zrodzić się na moich oczach. Kiedy tylko było to możliwe i kiedy czułem, że tak może się zdarzyć – bo akurat aura sprzyjała tego dnia – fotografowałem niebo i pojawiające się tam chmury. Z reguły pod wieczór, na chwilę przed zachodem słońca. Wbrew oczekiwaniom – takie dni nie zdarzały się często. Rzekłbym: raczej rzadko. Ciągle więc daleko byłem od znalezienia tej jedynej, czy choćby nawet tylko zbliżonej wyglądem.

Zadanie, choć – zdawałoby się – banalne (na które miałem przecież aż rok), wcale takim nie było. W dodatku nałożyłem sobie pewne ograniczenia dotyczące fotografii, jaką miałem zrobić.

Chmura (taka jak ta idealna, ujrzana za pierwszym razem) miała być widoczna z Tuchowa – czyli miasteczka, w którym mieszkam. Jeszcze bliżej – z mojego podwórka. Nie wchodziło w grę jeżdżenie w kółko, żeby ją znaleźć. Chmura miała się przytrafić, gdy siedziałem w ogrodzie, ewentualnie w trakcie spaceru. Fotografować miałem ją wyłącznie z ziemi (tzn. stojąc na niej obiema nogami), pilnując przy tym, by w kadrze nie znalazło się nic oprócz nieba (żadnej linii horyzontu, drzew, zabudowań, a nawet ptaków czy smug po przecinających niebo samolotach). Zdjęcie miało być zrobione obiektywem o stałej ogniskowej 50 mm – nie mogło być później ani retuszowane, ani dodatkowo kadrowane.

Niestety pomimo dziesiątek prób w ciągu całego roku, idealnego zdjęcia chmury nie zrobiłem. Mam kilka, lecz wszystkie, być może z wyjątkiem jednej, dalekie są od rezultatu, jakiego oczekiwałem. Wciąż jednak patrzę w niebo i szukam jej, być może jeszcze kiedyś ją sfotografuję.